

14 listopada 2010 r.

Przypomniałem sobie o pewnym wydarzeniu, dwóch wydarzeniach, dla mnie niezwykle istotnych w onym czasie. Niby drobne epizody, ale jakże ważne i wartościowe z perspektywy czasu.

Przyjaciel, któremu je opowiedziałem, prosił mnie abym przekazał je szerokiemu gronu odbiorców – upublicznił. Zapomniałem, i dopiero dzisiaj ponownie wszystko do mnie powróciło.

Koleżanka wspomniała o swoich kłopotach ze strachem, ktoś inny ma problem z otoczeniem, gdzieś, ktoś żąda przeprosin... itp. „przypadkowe” sytuacje, zobligowały mnie do natychmiastowego przelania mych myśli na „komputerowy papier” i przedstawienia wszystkiego Wam, Drodzy Czytelnicy.

Mój uprzedni dylemat – przecież to trąci myszką – przepadł bez śladu, zastąpiony przeblyskiem – zaraz, zaraz, przecież ktoś może mieć podobne do moich, kłopoty. Upływ czasu nie tu ma znaczenia.

Resztę – sami ocenicie.

I oto pierwsze z dwóch wspomnień.

OGRÓD

Dedykuję Teresce.

Miałem ci ja fatalny okres w życiu. Trwał wiele, wiele lat. Był „spadkiem” po decyzjach życiowych, które najbliżsi przeżyli równie ciężko jak ja. Nie będę się zagłębiał w owe czasy – to są osobiste przeżycia.

W każdym razie, efektem wcześniejszego działania, był mój ogromnie głęboki i długotrwały, kryzys. Dotyczył on wszystkich dziedzin życia, od psychiki do materii. Takie „coś” nazwałem „stanem mniej niż zero”.

Pewnego pięknego, ciepłego wieczora miałem wyjątkowego doła. Byłem w maksymalnej rozpacz i beznadziei. Przypomniałem sobie, iż ktoś ze znajomych wspomniał kiedyś, iż „żyjesz w takim świecie, jaki masz wewnątrz siebie”. Twoje wnętrze jest odzwierciedlane w realu, w życiu codziennym – jest lustrem stanu psychiki, przekonań, żalów, zobowiązań, itp.

Ta uwaga nagle dotarła do mojej skołatanej świadomości.

Przypomniałem sobie koleżankę G. mówiącą:

„Andrzej wejdź w swoje wnętrze i wyobraź sobie, że jesteś w ogrodzie, w swoim ogrodzie. Co widzisz? Jaki jest ten ogród? Zobacz co w nim rośnie, jakie drzewa, kwiaty, rośliny. Czy jest w nim jasno czy ciemno, wilgotno czy sucho, ciepło czy zimno?”

Hmm... byłem w takim dole, że bez wahania, instynktownie wszedłem w moje wnętrze szukając tam ratunku lub chociaż iskierki nadziei.

Nie był to obraz z „Alicji w krainie czarów”.

Ciemna, ciężka, ponura atmosfera roztaczała się wokół mnie.

Ciemność panowała wokół mimo dnia.

Żadnego promienia słońca. Ledwo widoczne zarysy drzew wyzierały z mroku.

Rozczochrane krzewy chwyciły mnie za ubranie. Ścieżki pokryte zbutwiałymi liśćmi nieomal żyły swoją śmierdzącą śliskością.

Wokół nie zauważyłem żadnego kwiatka, żadnej pachnącej rośliny, nawet zielsko było obce, opychające, śliskie.

Poruszałem się niemal po omacku, co raz wzdrygając się od gęstej śliskości oblepiającej jakieś badyle. Poruszałem się jak w głębokiej dżungli, gdzie zamiast roślin, stały węże i żmije, w pozach udających łodygi, liście, gałęzie...

Złowroga, oczekująca cisza panowała wokół mnie. Nic, żadnego odgłosu, żadnej ptaszyny, żadnego kwilenia, żadnego szelestu – gęsta, czarna cisza.

Zawołałem.

„Jest tu ktoś!”

Najpierw ostrożnie, cicho. Nic.

Krzyknąłem głośniejsze. Nic.

Zawyłem rozpaczliwie: „Czy jest tu ktoś!?”

Nawet echo się nie odezwało. Mój głos był tylko przy mnie, nie rozległ się wewnątrz ogrodu. Przykleił się do mnie, jak ogrodowa wilgoć do gałęzi.

Zimno i straszno mi się zrobiło, ciarki przeszły mi po krzyżu

To był MÓJ ŚWIAT!

Taki obraz rzeczywistości stworzyłem wewnątrz siebie, a on odbijał się na zewnątrz, w realu, jak w lustrze.

Takie było moje życie: ciemne, ponure, beznadziejne, przesycone oparami wody i dymem fajek.

Mniej niż ZERO.

Rozpacz.

Bezgłośny krzyk:

„Ratunku!

Dłużej tak nie wytrzymam!

Pomóż mi!”

Ogród milczał.

Sędzia beznamiętny.

Zimne więzienie bez drzwi i okien.

Zaraz, zaraz... jak to bez drzwi?

Przecież każdy ogród gdzieś się kończy! Brama, furtka, płot... ?
Zaraz stąd wyjdę. Mam dość. Starczy.

Nieomal po omacku, jak ślepiec zacząłem przedzierać się przez oślizłe, splątane krzewy. Przez wielkie łodygi zimnych, mokrych roślin tłukących mnie po twarzy. Co chwilę przewracałem się na zbutwiałych gałęziach wpadając w śmierdzące stęchlizną liście, gdzie coś się bezszelestnie poruszało. Czułem to, nie widziałem, ale wyczuwałem ciężki ruch. Jakies tłuste, śliskie, mokre łapy otaczały moje nogi wstrzymując mój rozpaczliwy, pseudo bieg przed siebie.
To było raczej czołganie się. To nie był nawet świński trucht.

Nagle, raczej wyczułem niż zauważyłem, coś na kształt muru.
MUR! Jest! Nareszcie!

To był mur.
Śliski i mokry jak reszta ogrodu. Powiedziałbym „obleśny” w odczuciu – on... żył, dyszał ciężko, agonalnie, śmierdząc zgnilizną, trupem.
Wzdrygnąłem się.

Spojrzałem w górę- mur, mur, mur... niknący w mroku ogrodu.
Durne pytanie przeleciało mi przez głowę: „Kto wpadł na pomysł postawienia tak wysokiego muru?”

Furtka, gdzieś MUSI być furtka!
Rzuciłem się do jej szukania.
Człapiąc, macając śliskie kamienie, odgarniając kolczaste krzewy, posuwałem się mozolnie wzdłuż ogrodzenia. Nic, żadnej furtki, żadnego otworu. Tylko niekończący się MUR.

Opadłem z sił. To nie ma sensu. Stąd nie ma wyjścia! To przeklęty ogród! Moje przeznaczenie na wieczność!

Przez chwilę ponownie dopadło mnie zwątpienie, zniechęcenie, brak nadziei.

NIE!
Tak nie może być!
Ja chcę stąd wyjść!
Duszę się smrodem trupiej zgnilizny!

RATU... nie miałem sił krzyczeć – zresztą po co, i tak tu nie ma nikogo.

Poczłapałem się dalej patrząc w górę z nadzieją ujrzania promyka słońca.
Jakaś niewyjaśniona wiara dodawała mi sił.
Nagle... coś jasnego mignęło mi przed oczami.
Co to było?
Złudzenie zmęczonego wzroku?
Nie, tam przede mną delikatnie zajaśniał czarny mur!
Maleńka, cieniutka strużka jasności wierciła półmrok ogrodu.
HURA! Znalazłem!

Wyciągnąłem dłonie... jasność nieomal, rażąca oczy, odbiła się maleńka plamką na ręce.
Zacząłem drapać zaprawę wokół kamieni i cegieł muru.

Była zbutwiała. Na szczęście.
Pazurami wydzieralem ciemności moją wolność.
Jedna cegła, druga, trzecia, kamień, znowu cegła... jedna po drugiej spadała mi pod nogi.
Nie czułem zmęczenia, nie czułem bólu wysoko wyciągniętych rąk, nic nie czułem.
Czułem jedynie WOLNOŚĆ.

Już coś widać, już jest większy otwór, już mogę się wspiać i spojrzeć co jest po Drugiej Stronie.

Słońce, słońce, jasność, ciepło, zieleń łąki, kwiaty, odległe szczyty gór...
Boże, wysłuchałeś mojej prośby!
Dzięki Ci!

Wcisnąłem się w wydrapany otwór – nie miałem już więcej sił na jego powiększanie.
Poczułem cudowny zapach kwiatów, lekki, ciepły podmuch wiatry, usłyszałem szum potoku...
RAJ!

Ale, ale... koniec podróży do raju.
Mur jest cholernie szeroki, a ja już nie mam siły na poszerzenie otworu.
Nie ma siły!
Utknąłem w połowie. Nawet nie jestem w stanie sięgnąć do drugiej krawędzi.
Palce, w rozpaczliwych ruchach, ślizgają się po mokrych kamieniach, nie znajdując oparcia.
Nie dam rady! Nie dam rady!

Chce mi się wyć z rozpacz... przecież jestem już tak blisko, tuż, tuż mojej wolności, innego świata, spełnionego marzenia, piękna i radości.

Boziu ratuj, pomóż mi!

Otwór zaciemniał, zniknęła zielona łąka, jeszcze tylko kilka złotych promyków słońca docierało do zmęczonych oczu... NIE!!! Nie rób mi tego!!! Ja już nie chcę TAM wracać!!!
Krzyk rozpacz uwiązał w krtani.

A to co?

Jakieś silne, ciepłe ręce, ujęły moje dłonie i powoli, delikatnie zaczęły mnie przeciągać przez otwór w murze. Milimetr po milimetrze ku wolności.
Nie czułem bólu, nie czułem otarć naskórka, zdieranego kawałkami ubrania...
przeciskałem się na Drugą Stronę.
Ten KTOŚ pomagał mi delikatnie, powoli, ale silnie i bez wahania, bez zatrzymania.
Przymknąłem oczy – światło było zbyt silne.
Upadłem na miękkie, pachnące kwiecie łąki. Upadłem? Nie, ja zostałem tam delikatnie położony!

Powoli oczy przyzwyczajały się do jasności wokół. Wreszcie mogłem, choć z biedą, spojrzeć wokół.

Rozejrzałem się ze zmrużonymi powiekami.
Łąka, zielona, kwitnąca, pachnąca łąka. Owady, motyle, jakieś małe ptaszyny.
Dźwięki – muzyka pełnego, ciepłego lata i szumiący w pobliżu strumyk.
W oddali szczyty gór niknące w białych barankach chmur.
CISZA pełna kojących dźwięków!

Gdzie jest mój wybawca?
Tu nie ma NIKOGO!
Jestem sam.

A mur?

Obejrzałem się za siebie... kuźwa, mur JEST, TUŻ za mną... dyszy z wściekłości, wyciąga swe smrodliwe ramiona w moją stronę!
O, NIE, ja już TAM nie wrócę!!!

Zerwałem się na równe nogi i pogałem w kierunku gór na horyzoncie.
Nie zważałem na zmęczenie, na opuchnięte, podrapane do krwi dłonie, na resztki odzienia... gnałem przed siebie – uciekałem przed Murem, uciekałem z więzienia.
Biegłem tak długo, aż mur stał się kreską na horyzoncie.
Mimo wszystko, czułem go, wiedziałem że mogę tam znowu trafić, ON czekał na mnie.
Czułem to.

NIE, już TAM nigdy nie wrócę.
Jestem WOLNY!!!

Andrzej, 14 listopada 2010 r.

Post Scriptum:

- *Dokąd idziesz chłopcze, czego poszukujesz?*
- *MIŁOSCI, babuleńko.*
- *Rozerzyj się, ONA jest wszędzie. Tylko się dobrze rozejrzyj, Kochany.*